Joanna PETRY MROCZKOWSKA

AMERYKAŃSKA REWOLUCJA SEKSUALNA – NIE SPEŁNIONA OBIETNICA SZCZĘŚCIA

Każda rewolucja pochłania wiele ofiar [...]. Rewolucja seksualna, jak wiele rewolucji przed nią, nie wypełniła swej obietnicy – nie przyniosła szczęścia.

Uważa się powszechnie, że nowe „wyzwalające" spojrzenie na seksualność, szczególnie kobiet, datuje się od czasu odkryć Freuda, choć sam Freud zwierzył się kiedyś, że trzydzieści lat praktyki psychiatrycznej nie dało mu odpowiedzi na pytanie, czego chce kobieta. Postulaty rewolucji seksualnej, na bardziej masową skalę realizowane w USA w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, pojawiły się jednak sto lat wcześniej. Za źródło bezpośredniej inspiracji uważa się angielskiego filozofa Johna Stuarta Milla, który w swojej pracy *O poddaństwie kobiet* (1869 r.) ostro zaatakował sytuację kobiety w epoce wiktoriańskiej. Postulował on ustanowienie – poprzez emancypację kobiet – pełnej sprawiedliwości społecznej, nie tylko po to, aby dzięki temu „obdarzyć szczęściem wyzwoloną połowę rodzaju ludzkiego", lecz także dla dobra ludzkości. Krótki nawet zarys historii amerykańskiego ruchu kobiecego nie jest tu możliwy, jako ciekawostkę warto jednak przytoczyć fakt, że jedna z amerykańskich feministek w roku 1871 próbowała publicznie propagować wolną miłość, nieco później inna głosiła apoteozę macierzyństwa poza małżeństwem. Wyrażano też poglądy zmierzające do zalegalizowania próbnych małżeństw, lecz walka o prawo do głosowania odsuwała te zagadnienia na plan dalszy. I choć kwestie te często zazębiały się ze sobą, to charakterystyczne, że feminizm walczył głównie o równość (nie tylko równouprawnienie), wolność zaś była hasłem rewolucji seksualnej.

Lata dwudzieste tego stulecia, nazwane „szalonymi" (roaring twenties), kiedy to Amerykanki uzyskały prawo głosowania i feministki mogły przejść do forsowania innych spraw ze swojej listy postulatów, należy uznać za prawdziwy początek trendu w kierunku wyzwolenia seksualnego i rozluźnienia obyczajów. Nie bez znaczenia był tu wpływ Hollywoodu, gdyż stawiający wówczas pierwsze kroki przemysł filmowy przyczynił się do spopularyzowania sex appealu. Trzeba jednak podkreślić, iż mimo odrzucenia wielu tabu, kobiety raczej nie sięgały po rolę inicjatorek w sferze zachowań seksualnych. W latach dwudziestych zaczęła się jednak szerzyć ucieczka od zaangażowania

emocjonalnego na rzecz „wolnych" związków; ostro krytykowano zazdrość i chęć „posiadania" partnera. „Wyzwolona" kobieta z lat dwudziestych i trzydziestych, powierzchownie uwodzicielska, podchodziła jednak do spraw płci z mieszaniną pruderii i obaw o konsekwencje swych działań, w następstwie czego najczęściej padała ofiarą opisywanych przez Freuda zaburzeń, z histerią i oziębłością na czele. Jak pisze William O'Neill w książce *Everyone was Brave. The Rise and Fall of Feminism in America* (1969 r.), poza aborcją, rozwodami i innymi podobnie desperackimi aktami okres ten cechuje się ciągłym niezadowoleniem wyrażanym przez te same kobiety, które miały właśnie odnieść największe korzyści z nowo wprowadzonych zmian społeczno-obyczajowych.

Rewolucja seksualna, zapoczątkowana w latach dwudziestych, przycichła w dobie Wielkiego Kryzysu, II wojny światowej oraz w okresie powojennym, gdy kobiety po powrocie mężczyzn z frontu oddały się zajęciom domowym i rodzinnym. Wtedy to, we wczesnych latach pięćdziesiątych, Alfred Kinsey, który przebadał kilka tysięcy białych Amerykanów i Amerykanek, wykazał w swym raporcie duże zróżnicowanie praktyk seksualnych, stosunki przedmałżeńskie (83% mężczyzn, 50% kobiet) i związki pozamałżeńskie (około 50% mężczyzn, 25% kobiet). Dzięki upowszechnieniu informacji dane te uzyskały duży rozgłos. Amerykańska porządna i uporządkowana moralność wydawała się być tylko mitem.

W latach sześćdziesiątych pojawiło się pokolenie wyżu demograficznego znane w socjologii jako „baby boomers". Dzieci rodziców, którzy zmagali się z kryzysem gospodarczym i wojną, swoje potomstwo wychowywały jednak w atmosferze wzrastającego dobrobytu i w klimacie permisywizmu. Korzystanie z powszechnie dostępnych dobrodziejstw materialnych stało się hasłem dnia. W pewnym sensie jako reakcja wobec materializmu i ogólnie uznanych autorytetów w latach sześćdziesiątych przeszła przez USA fala buntu młodzieży. Szczytowym jej momentem było kilkudniowe spotkanie czterystu tysięcy hippisów, dzieci-kwiatów oraz ich sympatyków w miasteczku Woodstock w stanie Nowy Jork, dwadzieścia pięć lat temu. W takt muzyki rockowej i nie bez udziału narkotyków celebrowano tam swobodę pod hasłem: „Make love, not war".

Po pokoleniu lat sześćdziesiątych nazywanym „pokoleniem Teraz", w latach siedemdziesiątych przyszło „pokolenie Ja", nastawione wyłącznie na własną karierę. Z drugiej strony degradacja pracy: zautomatyzowanie, monotonia, brak satysfakcji – i zubożenie życia wspólnotowego zdawały się również przyczyniać do tego, że coraz częściej w seksie szukano zaspokojenia wszystkich potrzeb emocjonalnych. Do słownika wkroczyły nowe pojęcia, takie jak „małżeństwo otwarte", „zastępczy partnerzy seksualni", „zamiany partnerów", „kluby dla par" itp. Pornograficzne publikacje wyszły na światło dzienne, również telewizja włączyła się w ten nurt oferując programy, jakie do tej pory uważane były za wysoce niestosowne.

Aktywność seksualna stała się zajęciem rekreacyjnym, a jednorazowe związki z przypadkowym partnerem ("one night-stands") były wśród adeptów rewolucji seksualnej praktyką na porządku dziennym. W zalewie modnych w owym czasie przedmiotów jednorazowego użytku, związki międzyludzkie nabrały również takiego charakteru. Niektórzy – co bardziej cyniczni – głosili, że nawet spędzenie z kimś całej nocy jest za daleko idącym zaangażowaniem. Jednocześnie – i nie bez związku z rewolucją seksualną – zaktywizował się ruch women's liberation, domagający się równouprawnienia kobiet w polityce, w miejscu pracy, w domu i sypialni. Ostro potępiano „seksizm", którego niezwykłą obfitość form znajdowały feministki w kulturze zdominowanej od wieków przez mężczyzn, w języku, w hierarchicznych religiach i innych sferach życia publicznego.

Duży rozgłos uzyskała wydana w 1963 roku książka Betty Friedan *The Feminine Mystique*, w której autorka rozprawiała się z mitem kobiecości, mającej polegać jedynie na pełnieniu tradycyjnej roli żony i matki. Teza ta żywo poruszyła kobiety poszukujące nowych dróg samorealizacji. W latach siedemdziesiątych masowe zatrudnienie kobiet, wiążące się nie tylko z ich aspiracjami, lecz w coraz większym stopniu będące koniecznością w sytuacji wzrastającej inflacji, było już zjawiskiem powszechnym. (W chwili obecnej 47% zatrudnionych w USA to kobiety). Uzyskawszy prawa w życiu publicznym, kobiety domagały się teraz praw w życiu prywatnym. Nowy raport na temat zachowań seksualnych w społeczeństwie amerykańskim (ze szczególnym uwzględnieniem seksualności kobiecej), opracowany w tych latach przez parę Masters i Johnson, jakby dodał kobietom odwagi i feministycznym „wkładem" do rewolucji seksualnej stał się kategoryczny postulat zaspokojenia tłumionych dotychczas seksualnych potrzeb kobiet. Pigułka antykoncepcyjna dokonała zasadniczego wyzwolenia, a decyzja Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych z 1973 roku przyznała kobietom prawo do legalnej aborcji.

Analizę konsekwencji rewolucji seksualnej w sferze psychologii społecznej przeprowadził Christopher Lasch, niedawno zmarły wybitny amerykański krytyk społeczny. W wydanej w 1978 roku książce *The Culture of Narcissism* opisał on jedno ze zjawisk charakterystycznych dla rewolucji seksualnej, tzw. wojnę płci. W oczach mężczyzn, którzy do tej pory skarżyli się na bierność czy oziębłość kobiet, stały się one znacznie bardziej dostępne, ale zarazem budzące poczucie zagrożenia. Jeśli zgodzimy się z odwieczną opinią, że mężczyźni z natury stanowią płeć „drapieżną", nastawioną na użycie seksualne, to oni właśnie najbardziej zyskali na swobodzie obyczajów. W rezultacie jednak niespotykana dotąd aktywność seksualna kobiet zaczęła ich onieśmielać i nasuwać wątpliwości, czy są w stanie podołać apetytom kobiet, którym radykalne feministki powtarzały z satysfakcją, że o ile męska potencja jest biologicznie uwarunkowana, to u kobiet wydaje się niewyczerpana.

Zakładając manipulowanie emocjami innych, lecz robiąc przy tym wszystko, aby samemu nie zostać zranionym w sferze emocjonalnej, obie płci zamknęły się w świecie płytkich zabiegów obronnych, cynicznym oderwaniu, które szybko zamienia się w przyzwyczajenie i po jakimś czasie uniemożliwia wszelkie więzi osobiste. Straciwszy właściwą perspektywę, od związków personalnych oczekuje się z jednej strony za mało, z drugiej – za wiele.

Tradycyjny antagonizm płci, wyrażany przez mądrość ludową w postaci anegdot o emocjonalnym niedowładzie mężczyzn i słabości intelektualnej kobiet, ustąpił miejsca obsesyjnej konfrontacji. Zapanowała ona najpierw i głównie wśród przedstawicieli klasy średniej,, w klasie niższej bowiem ciągle jeszcze obowiązują tradycyjne modele seksualne i kobiety bez obsesyjnej niechęci i poczucia krzywdy przymykają oczy na odwieczne męskie słabostki, choć głosy feministek docierają i tutaj. W tym właśnie okresie pojawił się wśród kobiet zwyczaj niegodzenia się na to, aby mężczyzna płacił rachunek za wspólny obiad bądź przytrzymywał drzwi przechodzącej kobiecie, oraz protest przeciw takim gestom, jak podanie mężczyźnie śniadania czy upranie mu skarpetek.

Od kiedy jednak kobiety zakwestionowały swoje podporządkowanie mężczyznom i odrzuciły związane z tym konwencje, nie mogą już cofnąć się i szukać w tych konwencjach bezpiecznego schronienia. Z drugiej strony postępowanie kobiet, uwolnione od kanonów tradycyjnej bierności, odbierane jest przez mężczyzn jako agresywne i budzi w nich „prymitywną" reakcję. Rewolucja seksualna, która w latach sześćdziesiątych „wyzwoliła" młode kobiety od dotychczasowych kanonów przyzwoitości, pozbawiła je równocześnie mechanizmów obronnych. Młode kobiety nie martwią się, że ich uprzednie, mniej lub bardziej intensywne doświadczenia seksualne mogą negatywnie rzutować na ich przyszłe małżeństwo. Mają jednak powód do niepokoju, ponieważ gdy powiedzą „nie", ich partnerzy nie biorą tego „nie" poważnie. Stąd też cała epidemia zjawiska zwanego „gwałtem na randce", rozplenionego szczególnie w amerykańskich miasteczkach akademickich. Szeroko dyskutowanym obecnie problemem jest kwestia, czy i w jakim stopniu kobieta sama ściągnęła na siebie takie zachowanie.

Seks uprawiany wyłącznie jako cel sam w sobie traci wszelkie odniesienia do przyszłości i nie zakłada powstania trwałych związków. Wyłaniające się w oparciu o seks więzi, z małżeństwem włącznie, mogą być zerwane zgodnie z wolą partnerów. Nie ma w nich miejsca na zazdrość, żadna ze stron nie oczekuje wierności, męska opiekuńczość spotyka się z dezaprobatą. W klimacie hedonizmu i swobody miłość stała się pojęciem przestarzałym. Co więcej, związki emocjonalne, oparte na czasowej chociażby wyłączności, często bywają okazją do kpin i ośmieszania ze strony młodzieżowego otoczenia, które ustanowiło kult ciała, popularności, obfitości wrażeń zmysłowych, natychmiastowej gratyfikacji. Jak z ironią ujmował to znawca środowiska studenckiego

Allan Bloom w *The Closing of the American Mind* (1987 r.): „wszystkie romantyczne powieści opisujące tak ogromnie różniących się między sobą mężczyzn i kobiety, ich wysublimowaną zmysłowość i poczucie świętości więzów małżeńskich po prostu nie mają żadnego odpowiednika w rzeczywistości, w której funkcjonują dzisiaj młodzi ludzie. Nie przemawia do nich historia Romea i Julii, którzy muszą zmagać się z opozycją rodziców, ani Otello i jego zazdrość, czy pilnie strzeżona niewinność Mirandy. Święty Augustyn, jak powiedział mi jeden seminarzysta, miał seksualne zahamowania i kompleksy. Lepiej nie mówić o Biblii, w której każde «nie», to dzisiejsze «tak». Odeszli wszyscy, może z wyjątkiem Edypa. Odeszli oni razem ze skromnością".

Jeśli cofniemy się w czasie, stwierdzimy, że jednym z najwcześniejszych przejawów radykalnego przewrotu dotyczącego tradycyjnego porządku w sferze ról seksualnych był frontalny atak na małżeństwo i życie rodzinne. Pamiętamy, że z patriarchalizmem w małżeństwie i rodzinie rozprawiał się już Engels w pracy *Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa* (1884 r.), a pod wpływem tej nauki, zaraz po zwycięstwie rewolucji październikowej, Lenin wydał parę dekretów mających wyzwolić kobiety spod męskiej dominacji. Program obalenia tradycyjnej rodziny w bolszewickim państwie nie powiódł się jednak. Lenin przyznał, że podobnie jak inne procesy społeczne, rewolucja dotycząca spraw seksualnych nie jest jeszcze dobrze zbadana i niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że nie przywiązuje do niej nadmiernej wagi.

Zamiar ostatecznego rozprawienia się z małżeństwem, uważanym za najgorszą pułapkę zastawioną przez mężczyzn na kobiety w celu ich eksploatowania, nie przestał jednak przyświecać radykalnym feministkom zachodniego świata. W najskrajniejszej wersji głosiły one, że kobiety będą wolne dopiero wtedy, gdy zaniechane zostanie współżycie z mężczyznami (jest ono bowiem gwałtem) oraz macierzyństwo. Dzieci powinno wytwarzać się w probówkach. Retoryka ta operowała takimi symbolami, jak mężczyzna-wampir żerujący na ciele i umyśle kobiety. Jakkolwiek tak sformułowane opinie można już uznać za nieco ekstrawaganckie, podobne jednak hasła realizowane są dzisiaj, czego szczególnym dowodem jest swoisty, wzrastający trend polegający na tym, że wiele kobiet decyduje się na macierzyństwo bez wiązania się małżeństwem. W roku 1991 w USA jedno dziecko na czworo urodziła samotna matka. Ponadto coraz częściej dzieje się to z minimalnym tylko udziałem mężczyzny albo poprzez korzystanie z banków spermy, co jest wprawdzie rozwiązaniem droższym, lecz mniej zobowiązującym.

Na przeciwnym biegunie tego samego buntu znajduje się problem aborcji, ze względu na masowy charakter tego zjawiska mający najdalej idące konsekwencje moralne, społeczne i polityczne. W latach siedemdziesiątych w USA aborcja stała się symbolem tracącego popularność feminizmu. Walka o prawo kobiety do „wyboru" i „prywatności" stanowi jedno z niewielu haseł mogących w sytuacji znacznego zmniejszenia zainteresowania feminizmem wśród kobiet

zjednać młode pokolenia dla organizacji kobiecych. Kwestia ta jest dzisiaj najbardziej kontrowersyjnym, emocjonalnym problemem, który nie przestaje polaryzować społeczeństwa, a ze szczególnym nasileniem daje znać o sobie w okresie wyborów urzędników państwowych każdego szczebla. Zwolennicy prawa do aborcji (wśród nich nie brak, jak się można domyślać, mężczyzn) dopominają się o bezwzględny wybór w sferze działań rozrodczych kobiety, opierając swą argumentację na gruncie indywidualnego prawa. Żadna kobieta nie może być zmuszana do urodzenia dziecka wbrew jej woli. Przeciwnicy aborcji odpowiadają, że chodzi tu w istocie o zabijanie. Prawa kobiety muszą być zrównoważone z prawami dziecka, aborcja dotyczy bowiem dwóch istnień, a nie jednostronnego prawa kobiety. Prawo do aborcji, jako wyraz praw jednostki, otwiera drogę zabijaniu wszelkich istot zależnych, niesprawnych i niewygodnych.

Z pragmatycznego punktu widzenia aborcja wydaje się świetnym rozwiązaniem, duża bowiem liczba kobiet uciekających się do aborcji to niezamężne dziewczęta z najbiedniejszych środowisk. Trudno nie przyznać, iż perspektywy społeczno-ekonomiczne takich dzieci są istotnie marne. Trudności życiowe czy konieczność wyrzeczeń nie mogą jednak stanowić moralnego czy nawet politycznego usprawiedliwienia dla aborcji. Krytykom stanowiska proaborcyjnego nie umknął też fakt, iż bojowniczkom o prawa dla kobiet chodzi o wyzwolenie kobiety od rozrodczych konsekwencji własnej seksualności. Słychać bowiem głosy, że ciąża jest „skolonializowaniem" ciała kobiecego, płód pasożytem. Jest to więc, jak widać, sprzeciw wobec natury w sensie biologicznym.

Argument za aborcją jako niezbywalnym prawem kobiecym miesza zagadnienia natury płciowej z ekonomicznymi w sposób dość niebezpieczny i być może katastrofalny dla przyszłości. Obrona aborcji na gruncie prawa do prywatności stanowi manifestację skrajnie indywidualistycznego pojmowania społeczeństwa jako zbioru wyizolowanych jednostek. W sposób szczególnie niepokojący taka argumentacja uznaje zagadnienie prokreacji za indywidualne prawo kobiety, a przez to odrzuca udział mężczyzny i rozmywa jego odpowiedzialność wobec następnego pokolenia. Demistyfikacja kobiecości, a przede wszystkim skuteczne środki antykoncepcyjne i legalna aborcja osłabiły więzy, które do niedawna łączyły seks z miłością, małżeństwem i prokreacją. Kobiety i mężczyźni zaczęli podchodzić teraz do przyjemności seksualnej jako do celu samego w sobie, nie uwikłanego już ani w meandry romansu, ani nie prowadzącego do innych konsekwencji osobistych czy społecznych.

Co więcej, w klimacie obustronnego zagrożenia i konfrontacji najbardziej pozytywny postulat feminizmu, iż związek między kobietą i mężczyzną powinien zakładać mieszaninę zrozumienia, czułości i satysfakcji seksualnej, okazuje się w większości przypadków nierealny. Żałosne skutki „wojny płci" widoczne są w fali rozwodów, jaka ogarnęła Stany Zjednoczone. Od roku 1960 podwoiła się bowiem liczba rozwodów. W 1990 roku zawarto 2,4 miliona

ślubów i wystąpiono o 1,2 miliona rozwodów. Średnia długość trwania pierwszego małżeństwa kurczy się dla każdego młodszego rocznika i wynosi już tylko 6,3 roku. Feministki muszą jednak przyznać, że prawo do rozwodu nader często stanowi bardziej wyzwolenie mężczyzn od obowiązku utrzymywania kobiet i dzieci niż zwiększenie wolności kobiet. Rozwód zazwyczaj prowadzi do wzrostu dochodu mężczyzny i spadku dochodu kobiety. Amerykański Urząd Ewidencji Ludności podaje, że w 1990 roku tylko połowa z 5 milionów kobiet otrzymywała zasądzone alimenty w pełnym wymiarze.

Kryzys więzi interpersonalnych, małżeństwa, rodziny jest zaczątkiem podupadania idei wspólnoty. Elizabeth Fox-Genovese w książce z 1991 roku *Feminism without Illusions. A Critique of Individualism* wykazuje, że feminizm – wraz z jego naciskiem na prawa indywidualne – uderza w prawa społeczeństwa jako zbiorowości. (W sferze psychologicznej, przypomnijmy, Ch. Lasch w książce *The Culture of Narcissism* – 1978 r., mówił o narcyzmie, swoistej formie egotyzmu). „Za dziesięć czy dwadzieścia lat ruch kobiecy może być uznany za czynnik, który zrobił brudną robotę kapitalizmu – podkopał fundamenty dawnych wspólnot i burżuazyjnych instytucji, które przeszkadzały nowemu ponuremu despotyzmowi. W ostatecznym rozrachunku nowa zreformowana rzeczywistość charakteryzuje się sprowokowanym przez ruch kobiecy wzrostem kontroli odgórnej nad mężczyznami, co oczywiście oznacza również kontrolę nad kobietami, już nie członkami wspólnoty, lecz wyizolowanymi jednostkami. Nie może więc dziwić, że wiele kobiet, z przedstawicielkami klasy średniej włącznie, patrzy wstecz na dawną, ciemiężącą erę burżuazyjną jako na złoty wiek".

Ciekawego przykładu powiązań między etyką i polityką prawną dostarcza współczesne podejście do zagadnienia pornografii, która – jako uboczny skutek rewolucji seksualnej – w okresie ostatniego ćwierćwiecza stała się w USA wielomiliardowym przemysłem. Jak małe dzieci badające, jak daleko mogą się posunąć, by uszło im to jeszcze bezkarnie, tak i my – pisze E. Fox-Genovese – zachowujemy się wyzywająco wobec zastanych autorytetów i norm. W skrytości ducha liczymy, że ktoś nas powstrzyma. Sami bowiem zapomnieliśmy, lub nigdy nie nauczyliśmy się, jak powiedzieć sobie „dosyć".

Czy jest to kwestia moralna, prawna czy polityczna, czy dotyczy wyłącznie obyczajów, publicznej przyzwoitości, eksploatacji kobiet czy prawa do wolności słowa? Krótko mówiąc, czy pornografia to atak na moralność, czy swoista forma męskiego poniżenia kobiety. Znamienny jest sam fakt, że dokonuje się takiego rozróżnienia, nie utożsamiając ataku na kobietę z atakiem na rzeczywistość społeczną w szerszym tego słowa znaczeniu. Przeciwnicy pornografii to dość rozbieżne ideologicznie grupy: konserwatyści, uważający ją za czynnik degradujący moralność, oraz radykalne feministki, według których jest ona głównym przejawem eksploatacji, uprzedmiotowienia i degradacji kobiet. Przeciwnikami zakazu rozpowszechniania pornografii są radykalni indywidua-

liści, libertyni, którzy popierają zniesienie „represji seksualnej" i przyklaskują wszelkim przejawom swobody seksualnej, oraz liberałowie bojący się konsekwencji wprowadzenia jakiejkolwiek cenzury. I znowu kwestię praw jednostki przeciwstawia się zagadnieniu dobra ogółu czy wspólnoty. Aby przeciwstawić się pornografii, konieczna jest minimalna zgoda co do tego, że powinno się to zrobić. Konserwatyści, radykalne feministki, a nawet większość amerykańskich liberałów zgadza się ogólnie co do potrzeby delegalizacji pornografii, choć te trzy odłamy różnią się poglądem na powody, dla których ma to nastąpić.

Zagadnieniem pokrewnym jest zalew obsceniczności w filmie, telewizji, muzyce młodzieżowej. Danych na ten temat przysparza książka dzisiejszej drugiej damy, Tipper Gore, żony wiceprezydenta, zatytułowana *Raising PG Kids in X-Rated Society* (1987 r.) oraz kilka obfitujących w przykłady rozdziałów pracy krytyka filmowego Michaela Medveda *Hollywood versus America* (1992 r.). Jej podtytuł mówi sam za siebie: „Kultura masowa i wojna wydana wartościom tradycyjnym". Poza kultem brzydoty, wulgarności, perwersji, gwałtu, patologii, z ekranu – wykazuje Medved – spływa fascynacja swobodą seksualną wśród młodzieży. Pod wpływem nawału tego rodzaju incydentów widzowie pozostają pod wrażeniem, iż jest to jedyny przyjęty obecnie wzór zachowania. Szkolne programy wychowania seksualnego, mające stanowić panaceum na problem szerzenia się chorób wenerycznych, ciąż nastolatek i groźby AIDS, wydają się jeszcze pogarszać sprawę. W książce z 1992 roku *Why Johnny Can't Tell Right from Wrong* William Kilpatrick przekonywająco uzasadnia tezę, iż stosowane ostatnio programy, traktujące seks wyłącznie jako technikę, a nie w pełni odpowiedzialny wybór, w przeważającej mierze skłaniają młodzież do aktywności seksualnej i robią wiele, by zdyskredytować instytucję rodziny. I chociaż niektóre grupy rodziców domagają się, by w ramach wychowania seksualnego mówiono także o wstrzemięźliwości, liberalni przeciwnicy takiego podejścia odrzucają je jako mające stanowić dowód prób wprowadzenia standardów religijnych do szkół publicznych. I tak – to tu, to tam – dochodzi do wszczynania przez grupy z kręgów ultraliberalnych procesów przeciwko niektórym programom, ponieważ komuś wydaje się nie do przyjęcia i sprzeczne z konstytucją preferowanie modelu heteroseksualnej rodziny złożonej z matki i ojca.

Próby skorygowania dotychczasowej definicji małżeństwa i rodziny ciągle dają znać o sobie. Wychodzą one głównie ze środowiska homoseksualistów, które – pominąwszy tragiczne skutki AIDS – być może najwięcej „zyskało" na rewolucji seksualnej, homoseksualizm bowiem wymazano z rejestru dewiacji i zjawisk patologicznych. Homoseksualiści stoją jednak na stanowisku, że są w dalszym ciągu dyskryminowani: domagają się pełnego dostępu do zawodów, do których nie byli dopuszczani (wojsko, praca z młodzieżą), prawnego zrównania związku homoseksualnego z heteroseksualnym oraz prawa do adopcji.

Mimo odgórnie przychylnej atmosfery wobec „różnorodności orientacji seksualnych", próby nauczania kilkuletnich dzieci na temat rodzin homoseksualistów i lesbijek nie cieszą się poparciem większości rodziców, których sprzeciwy na ogół powodują w końcu zaniechanie takich zabiegów pedagogicznych.

Dzisiaj już coraz częściej kryzysem rodziny tłumaczy się większość zjawisk z patologii społecznej – narkomanię, przestępczość, swobodę seksualną nieletnich prowadzącą do chorób, aborcji czy nieodpowiedzialnego rodzicielstwa. Ale tylko niektórzy mają odwagę powiedzieć, że wszystko to ma związek z odrzuceniem bądź zagubieniem rozróżnienia między dobrem a złem, z niedojrzałością (przez co rozumieć należy brak poczucia odpowiedzialności), kultem egoizmu, czy jak ktoś woli indywidualizmu. Żaden dotychczas system nie uporał się z problemem egoizmu i pozostaje otwarta kwestia, która w szczególny może sposób nurtuje Stany Zjednoczone, „państwo stworzone dla wolności" – czy wolność to możliwość robienia tego, na co ma się ochotę, czy wolność to możliwość robienia tego, co powinno się robić. Powinność, nie można mieć co do tego złudzeń, nie jest tu popularnym pojęciem. Z języka zniknęły już takie wyrażenia, jak: silna wola, umiejętność odmówienia sobie, cierpliwość, ofiarność, poświęcenie, altruizm. O wiele bardziej realna może być natomiast analiza porównawcza subiektywnego stanu satysfakcji.

Opublikowany niedawno najnowszy raport na temat zachowań seksualnych Amerykanów, jakoby najbardziej wnikliwy i dokładny (lecz nie zapominajmy, że należy nieco sceptycznie patrzeć na wszelkie raporty dotyczące tej ciągle jeszcze delikatnej dziedziny), przynosi dane wręcz rewelacyjne, stojące bowiem w sprzeczności z tym, o czym zwykło się czytać nawet w prasie codziennej odsłaniającej kulisy życia prywatnego Amerykanów, z politykami, gwiazdami filmowymi i słynnymi sportowcami na czele. Z siedmiusetstronicowego dokumentu wynika, że Amerykanie prowadzą się znacznie bardziej konserwatywnie, niż zwykło się uważać. 80% ankietowanych odpowiedziało, iż w ciągu ostatniego roku posiadało jednego partnera bądź w ogóle nie prowadziło aktywnego życia seksualnego. Średnia liczba partnerów wynosi dla mężczyzn 6, a dla kobiet 2; wierność małżeńską deklaruje 85% kobiet i 75% mężczyzn. Wiarygodność tych wyników poświadczają badania wcześniejsze, mniej może upowszechnione. W książce z 1992 roku *The Pursuit of Happiness* David G. Myers przytacza wiele danych statystycznych na potwierdzenie faktu, że młodzi Amerykanie w dalszym ciągu udane małżeństwo stawiają wysoko na liście swoich celów życiowych, że większość małżonków uważa się za szczęśliwych (w tym dwie trzecie za bardzo szczęśliwych, cztery piąte oświadcza, że poślubiłoby tę samą osobę jeszcze raz). Z dezaprobatą o zdradzie małżeńskiej wypowiada się 91% pytanych. Doświadczenie wypływające z rewolucji seksualnej przyczynia się też do obalenia kilku mitów. Wiadomo już, że duża liczba partnerów seksualnych przed ślubem zwiększa prawdopodobieństwo niepowodzenia małżeństwa, a pary mieszkające ze sobą przed ślubem

mają większy procent rozwodów. A przede wszystkim dowiadujemy się, że to nie egoiści, lecz altruiści czują się szczęśliwi i oni właśnie są postrzegani jako bardziej zadowoleni z życia.

Dzisiaj rodzina znowu wydaje się powoli wracać do łask, choć trudno nie przyznać, że pozostawanie w stanie wolnym, który wybiera coraz większy procent społeczeństwa, jest rozwiązaniem wygodniejszym. Słyszy się jednak głosy optymistów, że pokolenie młodzieży znającej problem rozwodów z bolesnej autopsji będzie szczególnie zabiegać o powodzenie własnych małżeństw. Następuje pewne przewartościowanie. Amerykanie coraz częściej skłaniają się ku opinii, że pieniądz i praca to nie wszystko. W coraz większym stopniu – czas, a nie pieniądz, staje się symbolem nowego statusu. Można by powiedzieć, że przeżyło się powiedzenie „Czas to pieniądz", o ile bowiem czas można było przetworzyć na pieniądz, aż nadto często za pieniądze czasu nie da się kupić ani odkupić. Christopher Lasch już wcześniej przestrzegał Amerykanów, że jeśli rzeczywiście leży im na sercu zachowanie wartości rodzinnych, będą musieli porzucić konsumpcyjny model życia.

Każda rewolucja pochłania wiele ofiar. Stanowiąc to raczej regułę niż wyjątek, historii znane są rewolucje, których straty wielokrotnie przewyższały jakiekolwiek zyski. W przypadku rewolucji seksualnej jako zjawisko pozytywne wymienia się zerwanie z hipokryzją i pruderią. „Niektórzy twierdzą, że rewolucja seksualna, choć oczywiście w sposób niezamierzony, pomogła chrześcijanom odczytać biblijne pojęcie seksualności jako wielkie dobro, dar Boży" – przyznaje pisarz i działacz katolicki George Weigel (*Abortion. The Kind of a People we are*, 1994 r.), w pełni negatywnie jednak oceniając skutki rewolucji seksualnej jako kiepskie dla kobiet, mężczyzn i społeczeństwa. Rewolucja seksualna, jak wiele rewolucji przed nią, nie wypełniła swej obietnicy – nie przyniosła szczęścia.